

Przeglądnik dla Kobiet

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok I.

— Poznań, 3 września 1881. —

Nr. 25.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Długa ulica 8. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do nieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskim i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja: kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicji wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inzeraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

O wykształceniu woli dziecka.

Obowiązek byłby nieznośnym jarzmem, a nie owem zakłębieniem, które pobudza do pracy całego życia i wyrzeczenia siebie samego, gdyby się nie opierał na silnej wierze, zdolnej przeniknąć na wskroś wszystkie uczucia i czynności człowieka. Ale i wiara i dobre zasady i szlachetne porywy nie ostoją się i nie przyniosą owocu bez silnej woli, co sama jedna utrzymuje człowieka w wierności tak przyrodzonemu, jak przyjętemu obowiązkowi. Jakże liczyć na człowieka, który sam nie wie, czego chce; żadnego przyrzeczenia nie dotrzyma, w żadnym obowiązku nie wytrwa, za ładą powiem gotów się wyrzec tego, czego przed chwilą gorąco pragnął, obrzucić błotem to, co przed chwilą pod niebiosą wynosił. O ten brak stałości w zasadzie, woli w wytrwaniu i wykonaniu rozbijają się wszystkie dobre postanowienia. O wyrobienie tedy rozumnej a silnej woli starać się powinno wychowanie.

Wola ma być silna: — czyż te słowa nie powinny przerażać rodziców i wychowawców w mniemaniu, że tu otwiera się droga do samowoli i uporu w wychowancach? bynajmniej. Jak bez rozumnego posłuszeństwa żaden naród nie może ostać się, żadno zgromadzenie zachować pierwotnej karności, tak i światek dziecięcy stoi na posłuszeństwie, bez którego rodzice i nauczyciele byłiby bezsilnymi. Ale właśnie posłuszeństwo jest najwyższym aktem woli, bo przewyciężaniem siebie w rzeczach godziwych, a nakazanych. Mówiliśmy wyżej o rozumnej woli, żeby ją rozróżnić od samowoli i uporu, które są tylko karykaturami woli, a pochodzą z ograniczonego rozumu, podszytego słabością. Roztropny człowiek waży wprzód postanowienie, zastanawia się nad niem wszechstronnie, radzi się nawet przyjaciół, zanim je wola przypieczętuje, słaby radzi się wszystkich, ale nikogo słuchać nie potrafi, uparty niezdolny myśleć logicznie, chwytając tylko jedną stronę rzeczy, nie radzi się nikogo, odrzuca wszelkie rozumowanie i chce jedynie, bo chce, bo tak raz postanowił wbrew oczywistej nawet szkody. Im bardziej rozwija się rozum, rozsądek w dziecku, tem więcej zmniejsza się w niem upór i wykształca wola, ku dobremu pochopną i w dobrem wytrwałą. Żądając posłuszeństwa, trzeba rozkazywać tylko rzeczy możliwe, niewiele naraz, nie wymagać obietnicy, którejby dziecko dopełnić nie mogło. Dziecko może dotrzymać przyrzeczenia n. p. że nigdy nie

skłamię, nie może obiecać z pewnością, że się nigdy rodzeństwu nie sprzeciwi, nigdy nie nie stłucze, nie splami, nigdy grymasić nie będzie, co wszystko zwykle grzecznością nazywają. Pewni rodzice wybierali się na wesołą wycieczkę do rodziny, gdy ktoś z obecnych, obracając się do czteroletniego ich synka, zapowiedział mu, że jeśli przez dzisiaj i cały dzień jutrzejszy grzecznym będzie, to i on z nimi pojedzie. Chłopczyzna odpowiedział po krótkim namyśle: „nie mogę obiecać, że tak długo będę grzecznym, bo nie wiem, czy wytrzymam.“ Znać, że jego rodzice poznali jedną z tajemnic dobrego wychowania: rozkazywać mało od razu, nie wymagać nad siły, żądać posłuszeństwa, wpoić w dziecko świętość przyrzeczenia.

Im więcej rozwijamy w dziecku rozsądek, tem mniej będzie w niem uporu; zanim to jednak nastąpi, ucieka się zwykle wychowujący do kar i przymusu, żeby, jak to mówią, złamać upor, a zbyt często łamaniem tylko charakter, uczą obłudy i kłamstwa. Do leczenia uporu trzeba, prócz stałości w postępowaniu, wiele cierpliwości, spokoju, niekiedy dowcipu, a w rzeczach obojętnych należy unikać okazji, które, wiemy to z doświadczenia, upor wywołują. Dziecko opiera się z rozmaitych powodów: czasem z lenistwa i wtedy potrzebuje bodźca, przymusu; czasem nie chce słuchać, bo mu się rzecz nakazana złą wydaje, jak tej dziewczynce, którą najtwardsze kary nie mogły przymusić do napisania dyktowanego wyrazu według pisanowni, która jej się błędną wydawała, i skończyło się na tem, że musiano zostawić wyraz niedopisany, oznaczając go tylko złym numerem, a przekonanie upornej odłożyć do lepszej znajomości gramatyki. Czasem dzieci nie chcą przeprosić, bo czują jeszcze w sobie więcej gniewu, niż skruchy, a wtedy może lepiej czekać, aż ochłoną i możność przeproszenia; przedstawi im się, jako łaska pożądana, niż zmuszać je na razie do oczywistego fałszu. Czasem upierają się przez dziecinny punkt honoru i nie wiedzą, jak wyjść z swego położenia; wtedy trzeba im ułatwić pierwsze kroki i małe nawet ustępstwo przyjąć za akt grzeczności. Czasem znów upierają się po prostu, żeby sobie dogodzić i wywołać walkę — wtedy najlepiej nie dać im tego zadowolenia, pokazać się spokojnym, obojętnym, ukarać, jeśli potrzeba, żeby poznały, że źle na uporze wychodzą, ale zostawić im na pozór

wolność wyboru. Zwykle dzieci zawiedzione, znudzone nie odnowią drugi raz tej próby. Jest to droga powolna, ale pewna do zwalczenia upor, bez złamania charakteru. Spóś taki zmusza dziecko do pewnego rozumowania i ucząc je stopniowo przewycięzać się, przysposabia do chętnego skłaniania woli ku temu, co samo uzna prawdziwym, pięknym i dobrem.

ECHO MŁODOŚCI.

Kto za młodu młodym był
I gorące serce miał,
Kto serdecznie z ludźmi żył,
A na swoim miejscu stał,

Nie pomylił życia dróg,
Umiął kochać — umiał żyć:
Temu istic daje Bóg
I na starość szczęsnym być.

Bo pamiętny młodych lat,
Nieprzeżyty — ludzi zna
I pogodnie patrząc w świat,
Pobłażanie dla nich ma;

Sercem — serca umie grzać,
Bo je z dawna ludziom dał!
I potrafi w młodych wlać,
Co za młodu w duszy miał!

Gorycz tylko znajdziesz tam,
Gdzie bez serca spłynął wiek,
Gdzie wśród ludzi — sercem sam —
I bez wspomnień — stary człek!

Altuna-Göksbo.

Wawrz. Benz. Engeström.

MARYA STUART

W HISTORII I W LITERATURZE

NAPISAŁ

ZORYAN.

(Ciąg dalszy.)

Szkoci przyjęli królową bardzo serdecznie. Zewsząd zbierały się tłumy, które jej towarzyszyły do stolicy. Nawet tak wrodoży jej presbiterianie, chcąc okazać radość z powrotu królowej, urządzili jej serenadę. Marya dziękowała wszystkim serdecznie, a uprzejmość i uroczy jakiś powab zyskiwał jej coraz liczniejszy zastęp zwolenników.

Po przyjęciu nastąpiło położenie trudniejsze. Państwo całe było w rozkładzie. Od lat dwudziestu zaszły tam liczne zmiany. Ojciec Maryi, Jakób V., był królem silnym, umiejącym utrzymać poddanych w należytych karchach. Przede wszystkim krótko trzymał szlachtę, a pracował dla dobrobytu ludu. Dla tego też kochał go lud, a w sercach szlachty możnej, a trzymanej silną dłońią monarszą na wodzy, tlał gniew, a rosła niechęć. Dla tego to szlachta wystąpiła po śmierci króla wrogo przeciw tronowi, a uwolniona z więzów, zdobyła sobie teraz więcej, niż wolność, przywłaszczyła sobie wszelką władzę, od najwyższej aż do najniższej. Dodajmy, że szlachta ta nie była dobrą, że cześć, honor i słowność, te główne hasła rycerskie, nie były jej ozdobą, że była przekupną, chciwą, a okazywało się to najlepiej w sądownictwie, które w swoim dzierżyła ręku.

Takiego nieprzyjaciela mając w kraju własnym, a nie widząc dziś już żadnej pomocy ze strony Francyi, w tru-

dnem położeniu była Marya, lecz nie traciła nadziei, owszem z prawdziwą energią i wielką zdolnością rządzenia poczęła radzić sobie w tak trudnej sprawie. Pierwszą rzeczą było, że powołała brata swego, hrabiego Murraya i sekretarza stanu Maitlanda, późniejszego lorda Lethington, do rządu. Pomoc to była dobra, lecz o ile Murray prawością na zaufanie zasługiwał, o tyle Lethington tej zalety nie posiadał, jak to się później okazało. Nową religią tolerowała Marya, dla siebie wymagając tolerancji religii katolickiej, co też Murray pomimo silnego oporu presbiteryanów wymógł i mszę według rytuału katolickiego odprawiano w kaplicy zamkowej w Holyrood. W radzie przyboecznej, składającej się z dwunastu lordów, zasiadało najwięcej protestantów. Najbardziej jej wrogim był Knox, żarliwy reformator, występujący nieustannie przeciw Maryi. Chcąc go ulagodzić, dopuściła królowa do rozmowy z nim, w której wszakże Knox nietylko nie zmienił swego antagonizmu, ale nawet ostrym był względem Maryi. Przyznawał wszakże, że Marya jest bardzo mądrą, lecz dumną.

Chociaż Knox nie przestawał występować głośno przeciw królowej, miała ona teraz silną podporę w Murrayu, którego coraz nowemi obdarzała zaszczytami. On był jej też wiernym i dobrze prowadził sprawy państwa. Marya tak dalece pragnęła zgody z protestantami, że zezwoliła nawet na wyprawę przeciw możnym rodzinom katolickim: Gordon i Hamilton, które jej były przeciwnie. W wyprawie tej wzięła młoda królowa nawet sama udział, a niewygody i trudy wojenne nie przerażały jej bynajmniej, bo lubiła je i do igrzysk rycerskich była zaprawną. Wyprawa trwała krótko, a skończyła się szczęśliwie dla królowej.

Dziwnym wydać się może czyn ten Maryi. Ona, co tak kochała wiarę katolicką, przeciw jej wyznawcom walczyła i z protestantami się wiazała. Czyniła to niezawodnie tylko dla przypodobania się Elżbiecie, dla pojednania się z nią. Herby królestwa Anglii złożyła zaraz po śmierci męża, tem więc samem uznała prawo do tronu Elżbiety, teraz dokładała wszelkich starań, aby pogodzić się z nią, pośrednikiem miał tu być Murray, szcycący się łaską obu monarchii. Minister Elżbiety, Cecil, przychylił się już do tego planu, królowa wszakże sama zwlekała i najwidoczniej zgody nie chciała. Obie królowe miały się nawet zjechać, lecz znów z winy Elżbiety zjazd ten nie przyszedł do skutku. Wszystko to wszakże nie wywołało jeszcze zerwania stosunków.

Zaledwie stosunki wewnętrzne państwa nieco uregulowano, powstały nowe kłopoty, trwające z górą lat cztery, a temi było małżeństwo Maryi.

Marya była młoda i piękna, nie więc dziwnego, że konkurentów miała wielu. W obec takich stosunków naturalnem było, że Marya szukała męża, któryby urodzeniem i stanowiskiem był jej równym, a zarazem mógł wzmocnić siłę Szkocyi. Stanowczo też oświadczyła, że nie poślubi nikogo, coby był niższym godnością od jej pierwszego męża. Później odstąpiła od tego oświadczenia. Z pomiędzy licznych konkurentów dość wymienić królów Danii i Szwecyi, arcyksięcia Karola i królewicza hiszpańskiego Don Carlosa. Ten ostatni był Maryi najpoważniejszym, bo choć młodszy od niej o lat trzy, był spadkobiercą potężnej korony, a tem samem mógł małżonce swej zapewnić pokój ze strony Anglii, lub, w razie wojny, pewną przewagę. Skoligacenie się z tak potężną za Filipa II. Hiszpanią uśmiechało się Maryi bardzo — niestety jej tylko. Protestancy lordowie, lud podburzany nieustannie przez Knoxa, byli najzupełniej planowi temu przeciwni. Obawiali się, że w razie hiszpańskiej i przesładowania wiary. Filip II. choć był zrazu, lecz skoro cesarz niemiecki powziął myśl starania się o rękę Maryi dla swego młodszego syna Karola, odstąpił natychmiast, bo nie chciał stać w drodze cesarzowi. Toż i dwór francuzki nie sprzyjał temu, bo dumna Katarzyna Medicis ułożyła już plan małżeństwa Don Carlosa z jedną z swych córek. Kardynał Lotaryngii, acz z początku popierał Maryą, odstąpił także dla dobra Francyi. A już najbardziej zżywała się na samą myśl tego małżeństwa Elżbieta. Wiedziała ona dobrze, że związek ten mógł prędzej czy później obalić jej tron; jej postanowieniem było nie dopuścić, ażeby Maryi mąż był ka-

tolikiem, lub księciem zagranicznym, a tem mniej potężnym — czego się bardzo obawiała.

Po długich walkach wszystkie plany upadły. Teraz wystąpiła Elżbieta ze swoim, podała mianowicie myśl małżeństwa Maryi z lordem Robertem Dudley'em. Do urzęchwistnienia tego projektu dokładała wszelkich starań, lecz Marya stanowczo odrzuciła, oświadczając wyraźnie, że za poddanego królowej Anglii nie pójdzie. Natomiast, gdy widziała, że wszystkie poprzednie nadzieje stracone, że naród życzy sobie, ażeby poślubiła którego z możliwych panów Szkocji, wybrała lorda Henryka Darnley'a, spokrewnionego z domem królewskim angielskim zarówno, jak z rodem Stuartów.

Pierwsza myśl tego małżeństwa natrafiła na silny opór. Elżbieta nie chciała nawet o tem słyszeć, a zjednani przez nią Lethington i Murray utworzyli wrogię Maryi stronnictwo, do którego wszyscy protestanci przystąpili. Darnlej wychowany był przez matkę w wierze katolickiej, stąd też skupiło się natychmiast około niego silne stronnictwo katolickie. Bardzo czynnym okazał się wówczas sekretarz królowej Rizzio. Niezadowolone protestantów, a bardziej może niechęć Murraya doszła do tego stopnia, że nastąpiła otwarta walka, a każde stronnictwo zbierało siły zbrojne. Wtedy to także cofnęła Marya wyrok banicyi, wydany poprzednio na Bothwela, który zaraz po powrocie z Francji przyłączył się do partii królowej przeciw Murrayowi.

Marya przez cały czas tych walk okazywała niezwykłą energią i wytrwałość, w końcu uwieńczyła swą pracę. Przedłożyła parlamentowi żądanie małżeństwa i 29 lipca 1565 odbył się ślub uroczysty, a podczas bankietu weselnego lordowie państwa oddawali hołdy królewskiej parze, bez różnicy.

Murray nie mógł się pogodzić z myślą o tem małżeństwie, a że niełatwo uginał karku i raz już do otwartej wystąpił walki, z całą więc zapamiętałością rzucił się znowu do przygotowań. Elżbietę na miłość boską zakłamał, aby mu przysłała posiłki, bo tu idzie o walkę za wiarę, w Szkocji występował w obronie praw królewskich, które nazwał pogwałconymi przez małżeństwo Maryi.

Marya wyruszyła natychmiast w pole i odniosła świetne zwycięstwo. Umiała też postępować z swymi poddanymi, zapewniała ich w swych proklamacyach o zupełnej tolerancji religii, a wzywała do walki przeciw wicherzycielom. Jakoś niedługo musieli przywódcy powstania po zupełnej przegranej uchodzić z kraju. Teraz zaczęła się królowa otaczać katolikami. Na miejsce Murraya zamianowała prezydentem rady hrabiego Athol'a; James Bothwel otrzymał godność admirała i dowództwo prowincji zachodnich. Wówczas to po raz pierwszy zbliżył się lord do Maryi.

Po trudach rządzenia zapragnęła Marya odetchnąć swobodnie bodaj w ścisłym, zamkniętym kółku domowym. Ona, przyzwyczajona do swobody, wesołości i zabaw, nie mogła prawie wyżyć wśród wpoł dzikich nieraz zwyczajów szkockich, a że była młoda, piękna, że była namiętna, nic dziwnego, że szukała rozrywek koniecznie. Pożycie małżeńskie nie było szczęśliwe. Pierwsze chwile namiętności minęły, zaczęła się bliżej przypatrywać swemu małżonkowi i znalazła go nad wyraz nieprzyjemnym. Henryk był, jak większa część szlachty szkockiej, bez wykształcenia i wiedzy, a tem samem nie mógł być doradcą królowej w ciągłych a ciężkich potrzebach. Marya spostrzegła teraz dopiero, że brak mu zupełny gładkości w obejściu, elegancji, do której ona przywykła na dworze francuzkim, że przeciwnie jest szorstkim, niedbałym wcale o swą małżonkę, a oddany tylko hulankom nocnym i ciągłym polowaniom, że obok pychy i żądzy królowania nie ma do tego najmniejszej zdolności.

Największe usługi oddawał wówczas Maryi jej sekretarz, Dawid Rizzio. Włoch ten przybył do Szkocji bez najmniejszego znaczenia, bo jako kamerdyner czy sekretarz hrabiego Moreta, posła sabaudzkiego; dla pięknego śpiewu dostał się w służbę Maryi. Marya lubiła muzykę, dla niej więc lubiła Rizzia, a gdy sprytny Włoch coraz to nowe odkrywał zdolności, gdy okazał biegłość w języku francu-

zkim, zrobiła go swym prywatnym sekretarzem. Jako taki załatwiał jej korespondencję, a w pokonywaniu rozlicznych trudności przy zawarciu małżeństwa Maryi z Darnley'em okazał czynność bardzo skuteczną. Później umiał tak radami stać się Maryi użytecznym, że niemal wszystkie sprawy państwa przez jego przechodziły ręce.

Takim był Rizzio.

Ze Marya go lubiła, nic dziwnego. Kiedy mąż oddawał się całej hulankom, ona, siedząc samotna, znachodziła przyjemność w słuchaniu śpiewu, a rozmawiając to o dworze papieża, to o Francji, unosiła się myślą w szczęśliwą przeszłość, która dla niej bezpowrotnie minęła. Dodać należy, że Rizzio, mając stosunki tajemne na dworze papieżkim i francuzkim, był Maryi bardzo użytecznym. Lecz dla tego właśnie, że przez niego Marya wszystko załatwiała, że on był wtajemniczony we wszystkie sprawy państwa, ściągnął na się zawiść wrogów, którzy, groźnego w nim upatrując nieprzyjaciela, poczęli wiązać się w ligę; należała do niej najprzedniejsza szlachta szkocka, a na jej czele Murray i król Darnley. Spisek rozgąłęziono bardzo, a nawet udano się z prośbą o pomoc do Elżbiety. Postanowiono przemocą porwać królową, Rizzia zamordować, a rządy oddać Murrayowi, choć pozornie miał figurować Darnley. Najniebezpiecznym okazał się w całej tej sprawie Henryk Darnley, raz, że przeciw własnemu krajowi łączył się z wrogą Elżbietą, powtórze, że dopuścił się oszczerstwa najniegodniejszego, bo przyznał, iż dla Rizzia zła Marya wiarę małżeńską — a jednak później z tym samym bezwstydem odwołał to wszystko.

Marya istotnie ulegała wpływowi Rizzia, a myśl jej dawna: chęć zemsty nad nieprzyjaciółmi i podniesienie katolicyzmu zaczęły wydawać owoce. Zapewniwszy sobie jaką taką pomoc materyalną, ze strony papieża (8000 talarów) i Hiszpanii (20000), oświadczyła przy otwarciu parlamentu, że myśli o ukaraniu buntowników i powrocie dawnej religii. To spowodowało, że sprysiężeni, którzy w tem głównie wpływ Rizzia upatrywali, już w dwa dni potem (9 marca 1566) zamiar swój wykonali.

Było to wieczorem. Marya siedziała w towarzystwie hrabiny Argyl, dowódcy straży zamkowej Craigla, (rodzeństwo naturalne Maryi) lorda Roberta Stuart, lekarza i Rizzia, przy stole, gdy przez skryte drzwi, wiodące do apartamentów króla, wszedł Darnley i po uprzejmym pozdrowieniu usiadł obok królowej. Za nim zjawił się w pełnej zbroi Ruthven, Lindsay i inni. Marya zapytała z godnością Ruthvena co go skłania do podobnego kroku, na co tenże odpowiedział: „Widzę tu człowieka, który zajmuje miejsce, nie przynależące mu; służącemu, jak ten, nie pozwolimy w Szkocji rządzić.“ A kiedy Ruthven chciał ręką dosięgnąć Rizzia, kryjącego się trwożliwie za królową, ta oświadczyła, że targnięcie się na niego będzie uważała za zdradę majestatu. Lecz słowa Maryi nie skutkowały. W jej oczach zadano Rizziovi pierwsze ciosy, następnie wywleczono go z pokoju i tam zakłuto go. Podczas dokonania tej zbrodni był Darnley obecny. Następnie wszedł Ruthven do królowej i oświadczył, że lordowie, skazani na banicyą, natychmiast powrócą, że odtąd nastąpi konieczna zmiana rządu i polityki, przyczem wyraźnie położył nacisk na wpływ Rizzia, za którego poradą królowa chciała katolicyzm przywrócić. Stronnicy królowej uszli w zamieszaniu, do nich należał także nowy admirał, lord Bothwel. Podczas kiedy spiskowi trzymali zamek w oblężeniu, zebrali się mieszcianie zbrojnie, żądając wyjaśnienia. Powiedziano im, że królowa znajduje się pod opieką króla, a tylko jej sekretarz, który z pomocą papieża chciał napowrót katolicyzm wprowadzić do Szkocji, zginął. Wierząc w opiekę królewską, rozeszli się ci, co poczytywali sobie za obowiązek bronić królową.

Marya wpadła w stan dziwnego rozdrażnienia, wszystko, co ją spotkało, nie mogło się zrazu pomieścić w jej głowie. Wkrótce jednak powzięła postanowienie i zaczęła pracować nad jego wykonaniem. Brat jej, lord Murray, zapewniał ją, że wszystko weźmie dobry obrot, przyrzekł też bronić jej. Marya była uległą mężowi i bratu, a udawała miłość ku nim tak dobrze, że jeśli nie obaj, to przynajmniej Henryk

uwierzył jej zupełnie i wtajemniczony przez nią w myśl ucieczki, postanowił chętnie dopomagać. Przed wykonaniem jeszcze planu przyrzekła Marya przebaczenie banitom i podpisanie dotyczących dokumentów. Darnley, teraz zupełnie pozyskany przez królową, zaręczył święcie, że żona słowa dotrzyma.

Tejże samej nocy opuściła Marya z Darnleyem w towarzystwie Artura Erskine i trzech służących Holyrood, przez piwnice zamkowe. Po dwugodzinnej, nieprzerwanej, a szybkiej jeździe konnej, w piękną noc księżycową zatrzymała się uciekająca królowa w twierdzy Dunbar. Stronicy jej, którzy wpięrowali się z zamku, się wymknęli: Bothvel, Huntly i Athol przybyli zaraz z licznymi orszakami w pomoc. Marya wydała proklamację przeciw rokoszom i z podziwu godną energią i przezornością rozpoczęła kroki przeciw nim. Do Elżbiety napisała zapytaniem, czy zamyśla dalej popierać rokoszan, jeśli tak, to niech pamięta, że Marya znajdzie przyjaciół więcej, aniżeli Elżbieta sądzić mogła. Elżbieta unikała stanowczo zerwania stosunków, bo wypadki szkockie wzburzyły katolików w Anglii. Dla tego zapewniała Maryę o swojej przyjaźni i ofiarując pomoc, Darnleyowi przypomniała groźbę jego obowiązku uległości dla królowej, a Murraya upominała, aby był siostrze wiernym, jeśli nie chce utracić jej łaski.

Natychmiast podała Marya dłoń zgody Murrayowi, Argyllowi i kilku innym możliwym przeciwnikom, a wzmocniwszy tak swe stanowisko, wezwała zabójców Rizzia przed sąd; lecz gdy królowa zwycięsko do Edynburga wkraczała, wszyscy ci umknęli. Darnley, który, opuszczony od lordów, zupełnie zdał się na łaskę Maryi, musiał podpisać uroczyste zeznanie, że ani w sprawie zabójstwa Rizzia, ani w spisku przeciw królowej nie miał najmniejszego udziału. Pismo to ogłoszono publicznie. Świadczy ono najlepiej, czem był Darnley, mąż królowej. Wszakże nie zyskało mu to ani szacunku, ani miłości Maryi, która obchodziła się z nim z pogardą i umiała go należycie ocenić, tem bardziej, że zdradzeni przez niego sprysiężeni dali Maryi oba akta spisku, przez niego podpisane. (C. d. n.)

ZAUFANIE.

Powieść

HENRYKA JAMES.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

— Rozumnem, nie, jeżeli chciała mnie zrazić do siebie.
— Może — ale jestem pewny, że gdybym był obecny rozmowie waszej, — daruj mej śmiałości — byłaby mnie zastanowiła....

— Cóż takiego?

— Zręczność młodej lady!

— A jednakże cała jej zręczność nie starczyła, aby mnie zniechęcić, pomimo, iż zapewniała mnie, że w przeciągu sześciu miesięcy mogłbym ją znienawidzić.

— Pewny jestem, że gdyby chciała, znienawidziłbyś ją i w krótszym czasie i dla tego samego zwię ją zręczną.

Zgodziła się, że prośbę moję odłożę na później, a tymczasowo pozostaniemy przyjaciółmi, postaramy się poznać wzajemnie i dopiero wtedy postanowimy o przyszłości. Nie żądała, abym się usunął, nie okazała mi żadnej niechęci, nawet zdaje się mnie lubić, zostawiając mi wolność starania się o większe jej względy, lub zaniechanie takowych. Nie krępuje w niczem mojej swobody, sama uważając się wolną.

— Urządzenie nadzwyczaj praktyczne! Takie więc jest chwilowe położenie twoje? zapytał Bernard.

Gordon zaważał się na chwilę. — Prawie takie, choć nie zupełnie, dodał.

— Czyżby panna Vivian zmieniła swe uczucia?

— Przynajmniej nie o tem nie wiem.

Bernard rozśmiał się i uderzając przyjaciela po ramieniu, zawołał wesoło: Niezrównany młodzieńcze, znakomity będzie mąż z ciebie!

— Czy stosujesz to do mego majątku?

— Do twego majątku, twojej skromności; jedno, jak drugie daje pewność niezwykłą.

— A pomimo tego szczęśliwego zbiegu okoliczności, z westchnieniem dodał Gordon, nie jestem szczęśliwy.

— Wyglądasz zamyślony, zawołał Bernard, czyżbyś ty miał się zmienić.

Gordon wzdrzgnął się: Tego już za wiele, zawołał.

— A więc cóż mam myśleć? zapytał Bernard życzliwie.

Gordon zatrzymał się, spojrzawszy w niebo, a blade światło gwiazd rozjaśniło poważną, a uczciwą twarz jego.

— Nie rozumiem jej, dodał zwolna.

— Pod tym względem nie mogę nic poradzić, odrzekł Bernard.

— A jednakże poradzić musisz, musisz przywrócić mi dawny humor.

— Cóż chcesz, litować się nad tobą nie mogę, wszakże ona bardzo uprzejmą dla ciebie?

— Tak, ale nie mogę być dobrze usposobiony z uczuciem, które mnie tłoczy.

— A więc cóż ci dolega?

— W towarzystwie jej jestem nieśmiały, zawstydzony, jakby przyciśnięty jakimś ciężarem. Co tego przyczyną, sam nie wiem, nie mogę jej o to obwiniać. Ona nie zmieniła się wcale, nie dała mi żadnego powodu, abym przypuszczał, że mnie mniej lubi, a jednakże onieśmieliła mnie i sprawia na mnie niezwykle wrażenie. Może wpływ to jej usposobienia, jak ty zwiesz, oryginalnego, bo niezwykłą jest istotą. Czuję się oczarowanym, a być nim nie chcę. Powiedz, czy chciałbyś być odurzonym przez jakąś istotę?

— Do tego stopnia nie, zawołał Bernard. Ale nie czekałbym tak długo. Lubię początek, rozkoszuję przy zbliżaniu się czaru, a budzę się, gdy mnie całego owładnąć zamierza.

— I ja tak chciałem, ale gdy czar owładać mną zaczął, nie zdołałem się wczas ocknąć, bo czar to siła tajemnicza. A kochałem mą wolność i swobodę mego sądu!

— A i ja kocham wolność swoją, odparł Bernard, wchodząc do swej sypialni.

IX.

Bernard udzielał rad przyjacielowi, których sam do siebie zastosować nie umiał. Nie lękał się on Anieli i swobodnie z nią rozmawiał, lecz za to z matką jej niezwykle był nieśmiały. Gniewało go, że mu nie sprzyjała, że nie lubiła nawet, gdy rozmawiał z córką. Pragnął ją poznać, a stroił od niej i sądząc ją przedwcześnie, powtarzał nieraz: Ma temperament bostoński, a jeżeli w jej żyłach płynie krew Purytanów, to nie całkowicie czysta, spaczona, może zbrukana nawet; Purytanką dla ludzi, w samej rzeczy lekką jest Bostonką.

Pani Vivian, a co więcej panna Vivian nigdy przed wieczorem nie ukazywała się na tarasie; pomimo to pewnego dnia około 3-ciej z południa, gdy Bernard wybrał się w tę stronę, spostrzegł Blankę Evers, przechadzającą się pod czerwonym parasolem w towarzystwie kapitana Lovelock. Młoda lady, jak zwykle uprzejma, pierwsza zaczęła Bernarda.

— A! panie Longueville — i pan zaczynasz być lekko-myślnym; o wszystkich godzinach można pana spotkać niedaleko Kursalu.

— Czy to lekkomyślnością zwać można, żem panią chciał odszukać — odparł Bernard. Zamiar to bardzo poważny.

— Zgubić panią byłoby lekkomyślniej, wtrącił kapitan Lovelock.

— Bardzobym była rada, gdyby mnie pan zgubił choć raz jeden, zawołała Blanka, pewną jestem, łatwo trafiłabym do domu.

— Pani Vivian zapewne rzecz tę inaczejby przyjęła,

zauważał Bernard, który w tej chwili spostrzegł panią Vivian z książką w ręku, bacznie okiem śledzącą Blankę.

— O! tak, ona bardzo o mnie trwożliwa, coś podobnego nie widziałam w życiu. Musi to być dobrze, choć doprawdy nie pojmuję, czego się lęka.

— Nie bardzo to dla mnie pochlebne, odparł kapitan, ale niewątpliwe, że pani Vivian pragnęłaby, abym w tej chwili był w Jamajce. Zupełnie nie wiem, dla czego uprzedziła się do mnie.

— I ja nie mogę poszczycić się jej łaskami i nie wiem również, za co mnie nie lubi, pomimo mej sympatii do niej, zauważył Bernard.

— Na mój widok otrząsa się, jak za zbliżaniem kota, śmiejąc się, dorzucił Lovelock.

— Nie odzywajcie się panowie w ten sposób o kobiecie, tak bardzo dobrej dla mnie. Jest niezrównaną i wiele staranniejszą o mnie, niż własna matka — troszczy się o wszystko — wprawdzie do zbytku czuwa nade mną, ale za to nie łaje nigdy.

— Wolalbym, aby więcej lała, a mniej strzegła, rzekł Lovelock. Nawet teraz ściga nas badawczym okiem. Jedyny pan Gordon Wright pozyskał jej łaski.

— Znać w tem rozum pani Vivian, dodał Bernard.

— Niezawodnie; bardzo on przystojny, ozwała się panna Evers, patrząc na kapitana, i ja go szczerze lubię. Bez niego nie byłibyśmy poznały pana, panie Longueville. Już to panowie nie rozłączacie się nigdy, pierwszy raz widzę pana bez przyjaciela.

— Ale za to już nieraz widzieliśmy pana Wright samego, rozśmiała się kapitan, czyli raczej z panną Vivian. Przeciw temu pani Vivian nic nie ma, zupełnie to po jej myśli.

Młoda panna gniewnem wejrzeniem zmierzyła mówiącego. — To szkaradnie, odrzekła z nadąsaną minką, czy pan przez to rozumiesz, że pani Vivian chce córkę wydać za niego?

— Rozumiem, że młodzieniec ten ma sześć tysięcy rocznego dochodu.

— To wszystko jedno; sześć tysięcy znowu nie wielkiego. U nas podobnych obrachunków nie znają, nikt nie kojarzy równie obrzydliwych małżeństw. Matki Amerykanki nie podobne do Angielek.

— Pod tym względem rozsądzać trudno, przerwał Lovelock, ale to pewno, że każdy widzi, iż pan Gordon Wright szalenie rozkochany w pannie Vivian.

— Nie widzę tego, z dąsem odparła Blanka.

— W każdym razie uczucia swe jawniej okazuje ode mnie, rzekł kapitan.

— Pan najlepiejbyś zrobił, nie okazując wcale, a w każdym razie Aniela nie umiera z miłości, pospiesznie dodała panienka.

— A jednakże pójdzie za pana Wright, zakończył Lovelock.

— Czemuż pan nie bronis przyjaciele, zwracając się do Bernarda, rzekła Blanka.

— Cóż ja mam mówić, skoro z przyjemnością tylko przywóżyć winienem słowom p. Lovelock, dotyczącym się uczuć mego przyjaciela, a niechętnie potwierdziłbym odpowiedź pani, daną w imieniu panny Vivian.

— A ja zapewniam panów za nią, że nie pójdzie za pana Wright.

— Chyba mi włosy na dłoni wyrosną, jeżeli panna Vivian nie będzie żoną przyjaciela pańskiego, zawołał Lovelock.

— Jak pani możesz twierdzić, że Amerykanki, mające piękne córki na wydaniu, nie pytają o majątek kawalera?

— Nie pytają i nie troszczą się o to i uważają to za ohydne, upierała się Blanka. Powinieneś pan, panie Longueville, bronić nas, choćby dla tego, że zaczepiają twoje współziomki.

— Niestety, w tym względzie uprzedzony jestem do ogółu, śmiejąc się, rzekł Bernard, a w tym wypadku jeszcze osobiście interesowany. Prawie i jabym zaręczył, że pani Vivian często myśli o bogactwie Gordona.

P. Evers skrzywiła się z niechęcią — Zamiast uprze-

dzać się na oslep, idź pan raczej wprost do pani Vivian i zapytaj ją o to?

— Myśl pani doskonała, skorzystam z dobrej rady, odrzekł Bernard i uchylając kapelusza, oddalił się spiesźnie, rad z nadanej mu sposobności grzecznego usunięcia się od niezbyt zajmującego towarzystwa.

X.

Myśl wybadania pani Vivian zrazu wydała mu się doskonałą, ale ileż to doskonałych pomysłów nie zostaje w czyn zamienionych. Za zbliżeniem się do matki zbrakło Bernardowi odwagi podejścia jej tajemnie, przeciwnie, zapragnął nawet zjednać sobie jej względy. Niczego na świecie nie szanował więcej nad Bostonkę, poważnie w życie patrzącą, lękającą się najmniejszego złego i jako takiej, zapragnął wyrazić jej słowa uznania. Ona znowu nie umiała być niegrzeczną dla niego — dla kogokolwiek! Na widok zbliżającego się złożyła książkę; było to dzieło Wiktora Cousina.

— Masz pani wyjątkowy dar podniesienia myśli, ozwał się Bernard. — Badanie filozofii w badeńskim Kursalu godnem jest podziwu.

— Czy i pana nie nawiedzą czasem myśli filozoficzne?

— Tak jest — o ile same weisną mi się do umysłu, lecz nie śmiałybym sięgnąć po nie do książki.

— Nie mów pan o sobie tak, jakbyś był nierozumny, znane wszystkim wykształcenie pańskie.

Longueville pomyślał: jeżeli jest Bostonką, to zepsuta.

— Wszystkim, łaskawa pani, znaczy mniej więcej to samo, co nikomu, odrzekł z uśmiechem.

— Pan Wright często mówił mi o panu.

— Przyjaźń go zaślepia.

— I o przyjaźni pańskiej wiem dobrze, wiele mówił nam o niej.

— Jakiegoż gawędziarza zrobiliście panie z niego.

— Opowiada tak mile, że z przyjemnością go słuchamy.

— Prawda, że mówi dobrze, ale nie o wszystkim, zależy to od przedmiotu.

— Zawsze zostawiamy mu wybór, odrzekła pani Vivian, wtem, jakby się wystraszyła słów własnych, oczy zwróciła na książkę. Równocześnie Bernardowi tysiące myśli przebiegło przez głowę; przyszła mu na pamięć rozmowa z kapitanem Lovelock i zapytał sam siebie, czy nie pora posłuchać rady panny Evers. Nie śmiał wprost przyjść do rzeczy, zaczął zwolna.

— Rozumu nie można odmówić Gordonowi, lecz i trudno odmówić go komukolwiek, zdaje się, że wszyscy mamy go po trochu. I tak kapitan Lovelock zadziwił mnie swym zmysłem spostrzegawczym.

Pani Vivian obejrzała się dokoła. — Pan Lovelock nie jest nam bardzo sympatyczny.

— Wierząc, pani, uwagi jego nadzwyczaj są trafne.

— Nam wydaje się on nieokrzesanym, przerwała pani Vivian, a i pan chwalić go nie możesz.

— Pragnąłbym tylko być sprawiedliwym, odparł Bernard.

— Czy panu bardzo na tem zależy, aby być sprawiedliwym?

— Najgorętszem to mojem życzeniem.

— Wierzę bardzo i miło podobne usłyszeć zdanie, odrzekła poważna pani.

Bernard skłonił się wdzięcznie, pomyślawszy: co za myśl ma ta baba, aby mi schlebiać, głośno zaś odrzekł uprzejmie:

— Zawsześ pani zbyt łaskawa.

— Zawdzięczasz to panu panu Wright, odparła sztywnie.

Bernardowi zdało się, że daleko odbiegł od powziętego planu, to też, gdy pani Vivian zrećnie powróciła do niego, rzekł z uśmiechem:

— Wszystko odnosisz pani do Gordona.

— Jemu bowiem zawdzięczamy tu wszystko, rzekła, rumieniąc się z lekka, od pokoi, które nam najął tanio i dogodnie, do przyjemności poznania pana.

Bernard coraz bardziej rozdrażniony pochlebstwem, od-

rzekł z ironią. — Ostatni fakt rzeczywiście wart zapisania w annałach tutajszego życia.

Pani Vivian, nie bacząc na ironią Bernarda, dalej wychwalała jego przyjaciela, aż w końcu zapytała, dla czego dotąd się nie pokazał, czy nie zaszło go co złego.

— Nie, tylko listy pisze, odparł Bernard.

— Musi mieć liczną korespondencją.

— Nie wiem, gdy jesteśmy razem, korespondencja jego znacznie zmniejszona.

— Wiemy, że panowie pisujecie sobie całe strony, lecz, pominąwszy tę miłą korespondencją, pan Wright musi mieć do pisania wiele listów, dotyczących jego interesów.

— Prawdopodobnie, nie leni się do niczego.

— Porządek, regularność przy wielkim majątku, to cnoty nieodzowne, zauważyła pani Vivian.

Bernard spojrzął na nią, a wzrok jego zdradzał, że znowu przyznawał słuszność spostrzeżeniom kapitana, iż cnoty Gordona mniej ceniono, niż jego pieniądze.

— Czy sądzisz, pani, że jego majątek bardzo wielki? zapytał badawczo.

— Zkądże mam to wiedzieć, wzdrygając się, odrzekła pani Vivian, przypuszczam tylko, że pan Wright bogaty.

— Tak jest, ma majątek, ale nie jest żadnym Krezusem.

— Dla was, panów, nawykłych do fantazyi i zbytku żaden majątek nie jest wielkim, inne są zapatrywania wdow, zmuszonej obliczać się z każdym szylingiem. Mnie pan Wright zdaje się bardzo bogatym.

— Nie sądz nas pani tak okropnie. Przyjaciel mój rzeczywiście nie ma potrzeby oszczędzania.

— Otóż to jest, co przypuszczałam; choć on tak skromny, że gdy mówi o swej fortunie, możnaby sądzić, że nic nie posiada.

— Majątek czyni go skromnym; zwykł on zawsze przedstawiać się w jak najgorszym świetle.

— I w tym względzie dobrze go oceniłam.

— Szczęśliwy, odparł Bernard, może zadowolnić skromnością i mieniem.

— Ach! przerwała pani Vivian, jakby chciała zatrzeć wywołane wrażenie, o majątku pana Wright nic nie wiem, zatem nie mam o nim żadnego sądu. I pożegnała Bernarda, który dopiero teraz spostrzegł, iż brzydko postąpił, nie oznaczając wartości mienia Gordona. Na pociechę powiedział sobie, że i tak wiedzą, iż za wiele, że jeżeli pani Vivian, zachwycona majątkiem Wrighta, odsuwa go od córki, to nie dla tego, żeby nie ufała jego przyjaźni, lub lękała się o jego serce, lecz aby Aniela przypadkowo nie stawiała go wyżej nad bogatego konkurenta.

XI.

W kilka dni potem, późno wieczorem, Gordon Wright zjawił się w pokoju przyjaciela.

— Odebrałem list od mojej siostry, muszę wyjeżdżać, mówić pospiesznie.

— Ach! zawołał Longueville, który, rad z pobytu w Baden, nie pragnął zmiany.

— Mam nadzieję, że tylko na krótko, lecz oddalić się muszę. Moja siostra pisze z Anglii, że mąż jej zagniony jest powrócić do kraju, a że ona bez niego pozostać nie chce. Opuszczają zatem Europę i proszą, abym przyjechał ich pożegnać. Nie wiem, kiedy powtórnie zobaczyć się będziemy mogli, obowiązkiem więc moim spędzić z nią ostatnie dni ich pobytu w Anglii.

— Pojmuję twoje rodzinne uczucia, lecz zarazem nie zazdroszczę pospiesznej jazdy do Folkestonu, odrzekł Bernard.

— Powiedz raczej pospiesznego powrotu, rzekł Gordon.

— Zatem wracasz! z pewnością?

— Jak najpewniej. Pani Vivian zabawi tu jeszcze miesiąc.

— O! jak bardzo będzie nam ciebie brakło.

— Pozostajesz tu? Bardzo się cieszę, zawołał Gordon.

— Nie zrobiłem jeszcze dotąd żadnego planu, powiedz, co radzisz?

— Radzę pozostać.

— Rada twoja rozkazem dla mnie, pospiesznie odparł Bernard.

— Polecam ci te panie; niechętnie zostawiałbym je same.

— Żartujesz, mój drogi. Czyś ty kiedy słyszał, abym ja umiał opiekować się kimkolwiek? Zaledwie umiem radzić o sobie.

— Zadanie twoje bardzo łatwe; wystarcza mi wiedzieć, że mają mężczyznę u boku.

— Pod tym względem troska twoja zbyt dużą, kapitan Lovelock nie opuściłby ich zapewne.

— Dla tego właśnie pragnę, aby ktoś inny czuwał nad niemi. On tylko pamięta o p. Evers, ty, nie prawdaż, czuwać będziesz nad drugimi. Umiałeś pozyskać ich łaski, bardzo cię lubią.

— Jeżeli chcesz mi schlebiać, drażnić mą próżność, toś gotów zwyciężyć mnie i całkowicie.

— Zadanie twoje nie zbyt przykre, odrzekł Gordon ze smutkiem w głosie.

— Niezawodnie, że nie. Co dzień rano z kapeluszem w rękę zastukam do drzwi p. Vivian i poproszę o rozkazy. Gordon kilka razy przebiegł pokój.

— Będzie to doskonała sposobność, rzekł zatrzymując się przed przyjacielem.

— Sposobność do czego? zapytał Bernard.

— Do zapoznania się z moją młodą przyjaciółką.

Bernard zachmurzył się.

— Znowu powracasz do tego.

— Czy ci już nie wypowiedziałem mego zdania, że ją znajduję niezrównanie miłą.

— Tem mniej chcesz zadowolnić!?. Pierwszy lepszy po godzinie znajomości tyleby mi powiedział.

— Cóż mam wymyślić innego?

— Chcę, abyś ją poznał, zbała. Moja nieobecność następcza ci do tego sposobność, korzystaj, a rad będziesz, kończył Gordon.

— Jesteś niezrównany, zaśmiał się Bernard. Czyż dla mojej przyjemności podsuwasz mi to zadanie?

Gordon przeszedł się po pokoju. Nie, żądam tego dla własnego dobra, dla mnie tylko.

— Dla twojego dobra?

— Tak jest; wyznać ci winienem, że ostatnimi czasy okropne męczą mnie myśli, poplątały się one w mej głowie i nie umiem sobie zdać z nich sprawy; potrzeba mi twojej pomocy. Chciej tylko dołożyć trochę dobrej woli, przejmij się mojem położeniem, a mówiąc to, głos jego zabrzmiał takim smutkiem, że Bernardowi żal się zrobiło. Ty nigdy nad niczem nie chcesz pomyśleć, poważniej, mówić dalej.

— Troski twoje zdają mi się zbyt dziwaczne, odparł Bernard seryo zupełnie.

— Być może, lecz rozmaici ludzie rozmaicie patrzą się na rzeczy. Czy nie widzisz? pytał Gordon, czy nie widzisz mego umysłowego rozdrażnienia. Przywiązanie moje do Anieli jest bardzo silne, a jednakże — jednakże boję się.

— Jej się boisz?

— Lękam się, że, rozsądniejsza ode mnie, będzie żoną niełatwą, że może dopuszczać się zechce jakich niewłaściwych dziwactw.

— Dziwactw! Jakich?

— Naprzykład,.... stanie się zalotną.

— Czy tego mąż lękać się powinien?

— Nie potrzebuje, gdy wierzy, że jest kochany, ale gdy tego nie jest pewnym? Jeżeli Aniela mnie poślubi, to tylko ze względów praktycznych. Osądzi, że, idąc za mnie, najrozsądniej postąpi. — Następnie pożałuje tego.

Bernard usiadł i popatrzał na przyjaciela.

— Mówisz, że ona rozsądniejszą od ciebie, to chyba nie podobna, nikt rozsądniejszym być nie może.

— Ale, Bernardzie, zawołał Gordon z przekąsem.

— Mówię jak najszczerzej, dokonałeś czegoś bardzo rozsądnego, otworzyłeś mi oczy na rzeczywistość, na słuszną, a uczciwą stronę twoją, jak ją zwiesz, troski i pytam, co mam dalej czynić, gdy ciebie tu nie będzie?

— Trwożyć się naprzód zbyt uczucie; zapobiedz złemu nie podobna, przychodzi ono zwykle, gdy się go najmniej spodziewamy, odparł Gordon z westchnieniem.

— Wdzięczny ci jestem za zaufanie, lecz, mów szczerze, chcesz zdać się na mnie zupełnie? czy pragniesz jeszcze, abym objął opiekę nad panną Vivian, czy wolisz, abym zaprzestał wszelkiego badania? poważnie zapytał Bernard.

— Ani jedno drgnienie twarzy Gordona nie zdradziło niewiary. Proszę, nie zmieniaj danej obietnicy, odrzekł jak najspokojniej.

— Szczerze rad temu jestem, i jak się zdaje, twe bezzasadne podejrzenia są tylko wynikiem nawyków naukowego badania.

— Wszakże jestem panem położenia, gdy zechcę, usunąć się mogę! ozwał się Gordon weselej.

— Dobrze, że mnie przestrzegasz. Nawet najwznioślejsze działanie może uleść posądzeniu.

— Czy twoje należy do najwznioślejszych? zapytał Gordon.

— Pytanie to nader niegrzeczne. Czy nie przychodzi ci nawet na myśl, że mógłbyś być zazdrosnym, zostawiając mi pole otwarte i stawiając w obec kobiety, którą kochasz?

— O! nieba, jakżebym pragnął być zazdrosny, zawołał Gordon, uczucia moje rozjaśniłyby się od razu, nabyłbym hartu!..

Dnia następnego wyjeżdżał do Anglii, a choć jeszcze w ostatniej chwili śmiał się z wczorajszych zastrzeżeń przyjaciela, bodaj czy już po drodze nie odczuł pierwszych bolesnych udęczeń uczucia, którego przed kilku godzinami pragnął tak gorąco.

XII.

Minęły trzy, czy cztery dni od wyjazdu Gordona, a Bernard nie wiedział, co porabiają panie, powierzone jego pieczy. Zamknęły się w domu, jakby pogrążone w żalu po stracie miłego towarzysza, a młody nasz bohater zawarł nowe znajomości i cierpliwie czekał na ich ukazanie się. Gdy jednakże czwartego dnia nowi znajomi nudzić go zaczęli, nie dorównywając pięknym Amerykankom, pospieszył zastukać do mieszkania tych ostatnich. Polecone miał czuwać nad nimi, śmiało więc zgłosił się do nich, i choć na progu domu oznajmiono mu, że pani Vivian z córką wyszła, wszedł, by pogawędzić z panną Evers. Blanka siedziała w oknie z książką w ręku, machinalnie przewracając stronnice. Widocznym było, że czytanie nie zajmuje jej wcale. Z radością powitała gościa. — Wyznaję, że bardzo jestem rada, że nas chociaż ktoś odwiedził, zawołała wesoło, porwawszy się z miejsca, aby przed zwierciadłem poprawić pukle.

— Choć to ja tylko, śmiejąc się, rzekł Bernard.

— Tego nie powiedziałam, zawsze rada jestem, gdy pana widzę — szczególnie — może nie dobrze, że panu to mówię — szczególnie, gdy całkiem jestem pozbawioną towarzystwa męskiego. W ciągu trzech dni nie miałam sposobności zamienienia choćby słów kilku. Mam uczucie, jak gdyby kto umarł. Czy przypadkiem nie pan Gordon Wright?... Pani Vivian przyszło nagle do głowy, że już zbyt długo chodzimy do Kursalu, że czas usunąć się trochę i aż cztery dni nie poszliśmy tam wcale, zastępując tę przyjemność przechadzkami w okolicę. Zwiedziliśmy już wszystkie piękne widoki i ruiny, pani Vivian i Aniela umieją się zachwycać każdym drzewem, kwiatkiem, dość im listków kilku; całe godziny są w stanie rozmawiać o lasach, górach, jak gdyby to byli ludzie naprzykład, jacy znajomi kawalerowie. Co do mnie, przyznaję, że natura jest piękną, może zachwycać, lecz z drzewem przechadzać się nie podobna, a my przez ten czas prócz zieleności i kobiet nie widzieliśmy nikogo. Bo zapomniałam panu powiedzieć, że do naszego hotelu przybyli pp. Waterworth z pięciu córkami na wydaniu. Wielka zabawa rozmawiać z paniami! Kobiety nigdy nie mają wiele do powiedzenia. Mama musi o tem wiedzieć najlepiej, gdyż koniecznie każe mi się uczyć podtrzymywać rozmowę. Pan się śmiejesz, lecz doprawdy, mama bardzo pragnie, abym umiała

rozmawiać, chce, bym! w towarzystwie nigdy niczem nie była skrepowaną, dla oswojenia mnie z ludźmi kazała jechać do Baden. Czy, siedząc zamknięta zdala od wszystkich, zadosyć uczynię jej życzeniu, nie wiem. Mama twierdzi, że wpływ pani Vivian to woń kwiatów; lecz choćby kwiatami oddychać dzień cały, to i od tego zachorować można. Ale o propos kwiatów, co pan sądzisz? czy kapitan Lovelock można także zaliczyć do kwiatów? Czy on umarł, czy żyje jeszcze!...

W ten i w podobny sposób panna Ewers zabawiała Longuevilla, który, nie doczekawszy się powrotu pani Vivian, pożegnał ją, obiecując powrócić. Gdy nazajutrz przybył, zastał nie tylko panią domu, lecz i kapitana Lovelock, jak zwykle gwarzącego z panną Evers. Pani Vivian zajęta była pisanie listu. Bernard więc zwrócił się do Anieli:

— Gordon polecił mi pieczę nad paniami, lecz panie, jakby wiedzone przecuciem, zdajecie się unikać mej opieki.

— Sądziłyśmy, żeś pan towarzyszył przyjacielowi, odparła Aniela.

— Skądże? Gordon arcy jest miłym towarzyszem, ale i bez niego Baden ma dość uroku, aby zostać dłużej. Obiecałem czuwać nad paniami.

Młoda dziewczyna spojrzała mu badawczo w oczy:

— Nie myliłam się zatem, domyslałam się czegoś podobnego.

— Cóż w tem dziwnego? Rzecz prosta, że Gordon zapragnął wyjeżdżać spokojny o panie.

Aniela przeszła przez pokój i zatrzymała się przed oknem. Bernardowi ruch jej nagły nie wydał się uprzejmy, jednakże nie dał się zniechęcić i poszedł za nią. Oboje stanęli we drzwiach balkonu, kapitan Lovelock z Blanką stali opodal.

— Nie wiem, czy prośba pana Wright całkiem była stosowną, ozwała się Aniela.

— Czy może być coś naturalniejszego ze strony człowieka, przejętego tak wielkiem do pani przywiązaniem? odparł Bernard.

Zawahała się chwilę, poczem, uśmiechając się z lekka, dodała: — Powinien był nas zamknąć i nic nie mówić.

— Nielatwo to zamknąć panie, bo chociaż wiem, że Gordon ma wielkie wpływy nad nimi, lecz dla tego nie przestajecie panie być wolnymi istotami.

— Nie jestem wolną. Gdyby moja matka była się zmówiła z p. Wrightem, jak najłatwiej byłoby tego dokazali.

— Zdaje się nawet, że już coś przedsięwzięliście panie w tym rodzaju, tak okropnie odosobniłyście się tych dni ostatnich.

— Być może, gdyż, jak mówiłam, przypuszczaliśmy, że pan masz jakie zlecenie czuwać nad nami.

— Co dopiero mówiłaś pani, iż sądziłaś, że wyjechałam z Gordonem?...

— Powiedziałam to tylko, aby rozpocząć romowę. Każda kobieta musi powiedzieć coś w tym rodzaju, aby okazać mężczyźnie, że się spostrzegła na jego nieobecności.

— Wiedziałaś pani, że bez pożegnania nie byłbym opuścił Badenu, odparł Bernard.

Młoda lady zamilkła i wzrok jej zatrzymał się na źle brukowanej uliczce. Czy już zaczęłaś pan czuwać nad nami? zapytała po chwili. Czy działalność pańska rozpoczęta? Mamo, co mówisz na to, zawołała, zwracając się do matki. Pan Wright oddał nas pod opiekę pana Longuevilla na cały czas swej nieobecności. Przypuśćmy, że p. Wright nie wróci nigdy!...

Pani Vivian podniosła się od biurka i zbliżając się do Bernarda, rzekła uprzejmie: O to nie ma obawy, lecz szczerze się cieszę tym jego wyborem, pewną jestem, że znakomity będzie z pana opiekun i doskonały doradca mej córki.

— Wdzięczny pani jestem za położone we mnie zaufanie, postaram się nie zawieść go nigdy,...

— Zaufanie mamy brzmi prześlicznie, przerwała Aniela, nie mu dorównać nie może, ale ja nie zawieram nikomu

i nie lubię komukolwiek być zleconą, jak paczka, lub strzeżoną, jak małe zwierzątko. Kocham moje wolność.

— Po raz drugi zadajesz pani kłam własnym słowem! zawołał Bernard. Czy pani nie powiedziałaś przed chwilą, żeś istotą bezwładną!

Aniela, śmiejąc się i srożąc zarazem, odparła pośpiesznie:

— Widocznie straż pańska już rozpoczęta.

Matka zlekka uderzyła ją w ramie, lecz młoda lady w zamian pocałowała ją w rękę i mówiła dalej:

— Mama powie panu, że działałam pod wpływem rozdrażnienia, że jestem wzruszona, że nie wiem, co mówię. Może przejął mnie wyjazd pana Wrighta... Nie prawdaż, mam?

Pani Vivian zmierzyła córkę łagodnym, lecz poważnym wejrzeniem:

— Nie wiem, moje dziecko, nie rozumiem cię.

Aniela zarumieniała się, a oczy jej zajaśniały niezwykłym blaskiem. Wyglądała prześlicznie i Bernard z przyjemnością patrzył na nią. Spojrzała to i szybko mówiła znowu: Przestrzegam pana, iż rzeczywiście niezwykle jestem usposobioną, często zdarza mi się mówić niedorzeczności. To pewnie właściwość powietrza badeńskiego, gdyż dawniej nigdy mi się to nie zdarzało, gdy pan odedziesz, będąc się musiała wstydzić okropnie.

— Jeżeli powietrze badeńskie tak silnie wpływa na panią, to tem więcej potrzeba jej starannej pieczy przyjaciela.

— Może być, lecz, jak powiedziałam, nie ufam nikomu i niczemu. Chwilowo chętnie wycofałabym się ze świata, mogłabym szczerze pokochać samotność. Nie prawda, mam, że te cztery dni zeszły nam nadzwyczaj mile? Pozbądź się pan ciężaru, którym pana obarczono, pan Wright, owa, jak pan nazywasz, ziemską naszą opatrność, zdala otoczyła nas opieką tak silną, iż czuję się niezdolną zejść dalej, jak na balkon.... To mówiąc, przeszła próg salonu i stanęła w bliskości Blanki. Bernard, rozweselony, choć i zakłopotany zarazem, pomyślał, iż Gordon miał słuszość, mówiąc, że młoda ta osoba inną jest, niż wszystkie i pozostał w pokoju z panią Vivian, która, spostrzegłszy nieobecność córki, przysunęła się do gościa. Ruch ten przypomniał Bernardowi, jak niegdyś w Sienna zostali tak samo, a gdy jeszcze usłyszał te same słowa, co tamże:

— Zapewne córka moja wydaje się panu dziwaczną, wspomnienie wywołane zostało tak silnie, iż pod wrażeniem tegoż odparł uprzejmie.

— Mówiłaś mi to pani już niegdyś we Włoszech, w owej małej mieścinie:

Pani Vivian zaczerwieniała się zlekka. Nie mów pan o tem, szepnęła, patrząc ku drzwiom balkonu. Było to małe zdarzenie podróży.

— Dla mnie nader miłe, racz powiedzieć mi pani, czy zachowałaś moje małą pracę?

Pani Vivian poczerwieniała silniej i, powtórnie patrząc na balkon, wyszeptała jeszcze ciszej: Nie. — Bernard wzrokiem pogonił za jej niespokojnym wejrzeniem i dojrzał Anielę wspartą o galerię, tak samo, jak kiedyś w Sienna. Czy jego czas dłuższy spoczywała na tej uroczej postaci? — Czy ją panna Aniela schowała? zapytał nagle.

— Nie wiem, stanowczo odparła p. Vivian, a stanowczo ta musiała kosztować dużo tę córkę Purytanów, nie nawykłą do kłamstwa.

Bernard nie pytał więcej; resztę sam sobie dopowiedział i z wewnętrznym zadowoleniem pożegnał ją uprzejmie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PODRÓŻ OKOŁO ŚWIATA NA YACHTCIE SUNBEAM

czyli

ROK ŻYCIA FAMILIJNEGO NA MORZU

przez

PANIĄ BRASSEY.

Tłumaczone z angielskiego (w wyjątkach).

(Ciąg dalszy.)

Wyspa Teneryffa.

Odszukawszy trochę chłodu, w cieniu skały, dzieci usnęły ze znużenia, ja zaś zdjęłam fotografią z ciekawych widoków. Przewodnicy przynieśli nam wody, zaczerpniętej z pieczary, położonej powyżej nas, gdzie się znajduje źródło zimne, lodowate.

Mineły trzy godziny, zanim panowie powrócili, a powrócili tak znużeni, że było widocznem, iż dla kobiety podejście do samego szczytu całkiem niepodobne. Najpierw wdrapali się oni po słupie, utworzonym z lawy, na maleńką równinę Bambletta (11,466 nad pow. m.) poczem mieli jeszcze do wnijsia 350 stóp wśród popiołu i spalonej kredy. Nogi co chwila wpadały im jak w przepaść, lub zesuwały się napowrót, tak, że nie wszyscy dojść mogli. Ci, co dosięgli wierzchołka, hojnie wynagrodzeni zostali cudownym krajobrazem i zadziwiającą formacją powierzchni szczytu.

Ziemie pod nogami mieli gorącą, wyziewy zaś siarczane i dym wydostawały się dokoła małemi szczelinami, pomimo, że wybuchu krateru nie było tutaj od roku 1704. Na dowód swej bytności u samego szczytu najodważniejsi przynieśli kawały spalanej kredy, okrytej kryształem siarki i arseniku.

Miejsce, na którem myśmy się zatrzymali, zdawało się całkiem wyschłe, spalone, a jednakże kilka ziarn jęczmienia (zapewne przez podróżnych rzucone mułom) wypuściły wątłe roślinki, a oprócz tych wykwitło jeszcze kilka kwiatków, podobnych do dzikich fiołków, wyrosłych na przeszło 11000 stóp wysokości w miejscu, gdzie żadna inna nie zbłądziła roślina.

Do miejsca, gdzieśmy zostawili konie i pakunki, trzeba było wracać pieszo, co nie tylko było nużące, ale i bolesne. Przy każdym stąpieniu uderzało się nogą o żuźle, lub upadało w popiół, a kto się nie pośliznął, lub nie spadł, ten pewno biegł szybko, aż się nie zatrzymał o skały, sterzące po drodze. Przy tem pamiętać trzeba, że termometr wskazywał 73° gorąca, a nigdzie ani odrobiny cienia.

Wreszcie wraz z Tomem*) dostaliśmy się do przestanku, gdzie posiliwszy się śniadaniem i kroplami chinu, położyłam się w cieniu skały. O 6-tej z wieczora puściliśmy się w dalszą podróż, a zanim przebyliśmy pumejową, czyli tak zwaną Betomą równinę, było już prawie ciemno. Małe przygody z końmi (okulbaczenie nie było najlepsze) zapóźniły nas także, a że Tom, Dr. Potter i Almut z głównym przewodnikiem ujechali byli trochę naprzód, znikli nam zupełnie z oczu, nasi zaś przewodnicy po chwilowym wahaniu wyznali, że nie znają drogi.

Było to przestrasające, drożki bowiem bardzo są tu niebezpieczne, a liczyć na pomoc ludzką było niemożliwem, gdyż przez cały ciąg naszej wyprawy spotkaliśmy tylko czterech ludzi i to dwóch pasterzy kóz i dwóch jeszcze, niosących lód do miasta.

Przez dłuższy czas błądziliśmy wśród skał i krzewów, napróżno nawołując towarzyszy naszych, gubiliśmy się coraz bardziej. Do tego konik mój nie zawsze chciał mi być posłusznym i chwilami musiałam iść pieszo. Nareszcie około 10-tej ujrzelśmy w dali światło, a dostawszy się do jakiejś osady, za obietnicą sowitej nagrody skłoniliśmy mieszkańców, że nas wyprowadzili z kłopotu. Pewien piękny mężczyzna, biało odziany, z pochodnią w ręku szedł naprzód,

*) Tomasz Brassey, mąż autorki.

drugi prowadził mego konia, trzeci służył nam za straż tylną. Najniebezpieczniejszymi ścieżkami prowadzili nas na dół, aż poniżej chmur; wśród otaczającej nas mgły pochodnie gasnąć poczęły, szczęściem, że gdy już ostatnie światło przyswiecać przestało, doszliśmy do małego siola. Naturalnie wszyscy tu już spali. Na doczekaniu, zanim zbudzono śpiących i rozpalono nowe pochodnie, Mabella, córka moja i ja ze zmęczenia położyliśmy się w ulicy na gołą ziemię. Potem nowy przewodnik poprowadził nas już lepszą drogą do Puerto-Oratova i o pół do pierwszej stanęliśmy przed mieszkaniem wicekonsula, którego siostrzeniec czekał na nas z kolacją. Zanadto byliśmy znużeni, aby z niej korzystać, to też wprost pospieszyliśmy na yacht. Dwadzieścia cztery godzin byliśmy w podróży, co rzeczywiście za wiele naraz. Wyprawa ta zbyt jest nużąca, aby ją przeprowadzać w jednej dobie, trzeba było zabrać namioty i obozować jedną, lub dwie noce; lecz na to za wiele było nas osób. Przeniesienie nieodwrotnych rzeczy przy takim gorącu było zbyt utrudniającym, z drugiej zaś strony szczyt ten ma tyle ciekawych rzeczy, tyle jest do widzenia po drodze, że dla podróżników rzeczywistą stratą oglądać to wszystko wśród wielkiego pośpiechu.

Za naszej bytności u wicekonsula złożyliśmy mu ogólne zaproszenie dla wszystkich jego znajomych, pragnących zwiedzić nasz statek. Jednakże liczba tychże tak ogromne przybrała rozmiary, że, jeżeli pierwsi szczegółowo obejrzeliby każdy zakątek, to ostatni zadowolnić się musieli wnijsiem na pokład, salony nasze i sypialnie zaledwo widzieć mogli przez okienka. Mieszkańcy tutajsi nie widzieli jeszcze nigdy statku wewnątrz, wszystkie bowiem parowce stawają w porcie Santa-Cruz.

Wiadomość o naszym yachcie rozeszła się aż po wsiach okolicznych, górale nawet zbiegli się, by widzieć to nieznanne im dziwo. Wybraliśmy się na ląd, aby zwiedzić villa Orotave, a mianowicie słynny botaniczny ogród, o którym wspominał nam Humboldt i wielu innych uczonych podróżników. Przez śliczny maleńki domek, przed którym z każdej strony, jakby na straży, stoją palmowe drzewa, weszliśmy do ogrodu, gdzie znajdują się drogocenne zbiory drzew i krzewów wszelkich możebnych rodzajów. Zawiadowca towarzyszył nam i tłumaczył właściwości rozmaitych, rzadszych roślin z Europy, Azji, Ameryki, Afryki i Zelandyi, z wysp północnych i południowych Spokojnego i Indyjskiego morza. Klimat Teneryffy jest tak niezmienny, że wszystkie rośliny łatwo się przyswajają, wyspa ta jest jakby stworzona do pośredniczenia między Europą, a innemi częściami świata.

Jeżeli klimat tutajszy przyczynia się do szybkiego wzrostu wszystkich roślin, to znowu gorąco niszczy je bardzo szybko. Owoców zerwanych rano nie można jeść wieczorem, róża nie przetrwa świeżo jednej nocy.

Zwiedziliśmy także ogród margrabiego de la Candia. Margrabia przyjął nas bardzo uprzejmie i pokazał nam swą plantację kawy. Roślina ta rozwija się tu tak dobrze, jak hiszpańskie orzechy coëval i palmy, w części ma wynagrodzić nieurodzaj wina, który tak w Madeirze, jak w Teneryffie stał się powodem ogólnej klęski. Najbogatsi posiadaciele winnic opuścili takowe, nie mając z nich żadnej korzyści. Lat ostatnich wieśniacy setkami wynosili się do Caraccas i do Venezueli z tego powodu. Obecnie położenie mieszkańców zaczyna się polepszać. Uprawa koszenili procentuje się dobrze, choć sprzedawana bardzo tanio. Kawa nie zawodzi także; rząd zaś hiszpański zezwala na sadzenie tabaki z zastrzeżeniem sprzedawania jej po oznaczonej cenie. Ludzie, zamieszkali tu od dawna, twierdzą, że przed dwudziestu czy trzydziestu laty wyspa ta całkiem miała inną postać, tak pod względem liczby mieszkańców, jak pod względem handlu. Czasy te należą już do przeszłości, która po wszystkie strony świata zawsze uważaną jest za szczęśliwszą od chwili obecnej, mianowicie w klasie ludu, pracującej twardo na chleb powszedni.

Popłynęliśmy wzdłuż północnej strony wyspy, omijając skały Buenavista, wznoszące się 2,000 stóp nad poziom morza i przylądek Tano, najbardziej wysunięty, zachodni

punkt Teneryffy. W oddaleniu dojrzeć mogliśmy większe wyspy Kanaryjskie, Palmę, Hierro, a nawet przesunęliśmy się wzdłuż wyspy Gomera. I tutaj znajdują się ciemne skały o pierwiastku i kształcie wulkanicznym. W ciągu nocy zbliżyliśmy się do Palmy, jednej z większych wysp Kanaryjskich, zawierającej jeden z najznakomitszych w świecie calderas, to jest wyłom w rodzaju kotliny, wytworzony siłą wulkaniczną. (C. d. n.)

KRONIKA LITERACKA I SPRAWY BIEŻĄCE.

— Pisma ks. Jana Koźmiana, 3 tomy. Poznań, 1881.

Wiadomo, że ks. Koźmian wydawał przez 20 lat od 1845 do 1865 r. „Przegląd Poznański.“ Pismo to przez długi czas było jedyne w W. Ks. Poznańskim, które podnosiło głos w sprawie polskiej i nawoływało do spełniania obowiązków narodowych, budząc nadzieję szczęśliwszej przyszłości. Ponieważ „Przegląd,“ liczący przeszło 40 tomów, już dziś jest rzadkością bibliograficzną, przeto powstało życzenie, aby przynajmniej artykuły głównego redaktora, oznaczające się uczonością i wytrawnym sądem, wydać osobno. Otóż nakładem p. Jarosława Leitgeba wyszły trzy obszernie tomy, zawierające literacką spuściznę ks. Koźmiana, choć jeszcze nie wszystko do tego zbioru włączono.

Artykuły pierwszego tomu odnoszą się przeważnie do dziejów naszej dzielnicy w r. 1848 i w dwóch latach następnych. Zwraca tu mianowicie uwagę opis wypadków 1848 r. pod napisem: „Stan rzeczy w W. Ks. Poznańskim (1848).“ Jest to pierwsza w ogóle obszerniejsza praca, jaka się pojawiła o ruchu 1848 r. Główną jej zaletę stanowi jasne przedstawienie i bogactwo ważnych szczegółów. Zachodzą tu niejedne usterki, które się tem tłumaczą, że Autor pisał tę rozprawę pod świeżym wrażeniem wypadków. W każdym razie jest to ważne źródło do dziejów Polski 1848 r. Z każdego niemal zdania wieje gorąca miłość ojczyzny. Piękną tu wystawioną jest charakter ks. Arcybiskupa Przyłuskiego, o którym mówi Autor, że „stał na wysokości swej misji wśród ciężkich okoliczności, jakie dyccezyje jego w ostatnich czasach dotknęły.“

Niech nam będzie wolno przytoczyć choć jeden ustęp z tej pracy: „Bywa często, że człowiek czuje się bardzo uciśniony, że mu się usuną wszelkie podpory, że go pociechy odbiegają, że potwarz i niechęci przygniotą go do ziemi i już mu się życie zdaje męczarnią, a śmierć wyzwoleniem. Jeśli wtedy upadnie pod brzemieniem bólesci, snąc nie było jemu działać na świecie. Ale jeśli przetrwa złą chwilę, skupi się w sobie, w sumieniu siły zaczerpnie i czoło jeszcze wyżej naprzeciw nieszczęściu postawi, minie złe łacniej często i prędzej, niż się przewidywać dawało i śladu nawet po sobie nie zostawi. Pan Bóg wtenczas zwykle najbliższy, kiedy ucisk najmocniej dolega.“

Tem bardziej narody nie powinny się dać zwalczyć przeciwnościami. Nikt nie wie, kiedy nadejdzie godzina zbawienia; być może, że jedna chwila wytrwałości, jedno wysilenie tylko potrzebne, by owoc usiłowań osiągnąć.“

Kończy się ten artykuł serdecznym wezwaniem do pracy w Imię Boga!

Tom drugi zawiera szereg artykułów, odnoszących się do ruchu 1863 r. i dwóch lat poprzednich, oraz w sprawie papieżstwa. W r. 1864 po upadku powstania napisał Autor te piękne słowa w krótkim, ale treściwym artykule „Obowiązki nie ustają“: „Nie godzi się rąk opuszczać, nie godzi się w zwątpienie popadać; Pan Bóg przecie zawsze kieruje sprawami świata i tak rzeczy ziemskie urządził, że na wszelkie złe jest sposób, jest ratunek w każdym nieszczęściu. Od ludzi, od ich zacości, poświęcenia i dobrej woli zależy skuteczność i siła sposobów, trzeba tylko, aby starali się zrozumieć położenie i przekonani byli gruntownie, że obowiązki i to najpowszedniejsze, codzienne, nigdy nie ustają.“

W tymże tomie znajduje się też rozprawa: „Dwa bałwochwalstwa w Polsce niebezpieczne,” której dalszym ciągiem i niejako dopełnieniem jest artykuł w trzecim tomie: „Dwa ideały.” Można nie na wszystkie poglądy Autora zupełnie się zgodzić, przyznać jednak trzeba, że jest tu poruszonych wiele zasad głębokich i podane są zbawienne rady dla osiągnięcia lepszej przyszłości. Autor występuje w tych rozprawach stanowczo przeciw porównywaniu męczeństwa Polski do męczeństwa Syna Bożego, o co i Z. Krasińskiego strofuje. Przestrzega także przed sojuszem z wolnością świata i podnosi głos przeciw zachęcaniu do emigracji. Przewodnią myśl tych dwóch artykułów zamknął ks. Koźmian pokrótce w tych treściwych słowach: „Pragnęliśmy i pragniemy, by do umysłów polskich przeniknęła ta prosta prawda, że cnotą tylko ojczyznę uratować można; pragnęliśmy i pragniemy, by w sercach polskich cześć niepokalanego ideału rozgorzała. Bodajby raz wyrażna większość kochających ojczyznę Polaków zwróciła się na słoneczne drogi,

„A patrzący wiecznie z góry
Nie odwróci twarzy Bóg.”

O wszechstronnem wykształceniu ks. Koźmiana świadczy artykuł: „Lekka literatura w Polsce,” w którym wykazuje właściwe znaczenie powieści i wytyka błędy powieściopisarzom, a mianowicie zarzuca im, że piszą zbyt pośpiesznie, nie zadając sobie wiele pracy i nie troszczą się wcale o gramatykę. Wyróżnia wprawdzie Kraśzewskiego, lecz uskarża się, że i w jego pismach styl zaniedbany i brak wykończenia. Słuszna jest następna uwaga ks. K. „Coraz jest więcej romansopisarzy, każdy student, chcący coś wydrukować, pisze i drukuje romans, choć romansu nie podobna ułożyć bez zasobu psychologicznych wiadomości, tudzież bez doświadczenia świata i ludzi, doświadczenia, którego i talent nie zastąpi. Więc tym niepowołanym pismałom godzi się prawdę mówić.” Autor nie życzy sobie, aby powieści miały na celu nauczanie ludzi: „Niechaj w nich” są jego słowa „przemaga szlachetność myśli, uczciwość zamiaru, wstręt do zepsucia, a wtedy zrobią także nieco dobrego.”

W r. 1862 ks. Koźmian miewał w Poznaniu prelekcje o okresie jagiellońskim. Wydano nawet drukiem sześć poszytów tych prelekcji. W zbiorze pism, o którym mówimy, umieszczono z tych wykładów tylko panowanie Kazimierza Jagiellończyka. Zwraca tu szczególnie uwagę krótkie, ale treściwie napisane wspomnienie o Długoszu. W związku z tym artykułem pozostaje życiorys Zbigniewa Oleśnickiego, stanowiący właściwie recenzją znakomitego dzieła o tym biskupie, napisanego przez Dzieńduszyckiego.

„Najwięcej pociągają nas w tym zbiorze życiorysy zasłużonych Polaków, a szczególnie pisarzy. Oto ich szereg: Witwicki, Słowacki, Karolina Mycielska, Chopin, Antoniewicz, Mickiewicz, Kajetan Koźmian, Niegolewski, Krasiński, Działyński i Rogier Raczyński. Nie są to życiorysy w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, ale raczej wspomnienia pośmiertne, pisane wkrótce po zgonie tych mężów. Znał ich wszystkich Autor bardzo dobrze, z niejednym żył nawet w ścisłej przyjaźni, dla tego wiele tu nieznanych, ciekawych i ważnych szczegółów, których nie ma gdzieindziej, albo wzięte są dopiero z tych wspomnień. Co napisał Autor w życiorysie Jul. Słowackiego, że „prawda, jeśli nie zawsze wielbi, cześć najlepiej pamięć ludzi znakomitych,” można odnieść do wszystkich tych życiorysów. Krótkimi, dosadnymi rysami, przypominającymi nieraz Plutarcha, charakteryzuje nasze chluby narodowe. W kilku tylko czasach słowach mieści się niezwykle bogactwo myśli, jak np. w następnym zdaniu: „Jak Chopin był najwznioślejszym poetą w muzyce, tak Słowacki był najsubtelniejszym muzykiem w poezji.”

Rzewnie i serdecznie napisane są wspomnienia o Chopinie i ks. Antoniewiczu. Czytamy o pierwszym, że krótko przed zgonem zębał przyjaciela, odjeżdżającego w Poznańskie, temi słowy: „Mój zawód publiczny już skończony; macie we wsi kościołek, dacie mi na resztę dni moich kawa-

łek łaskawego chleba, a ja wam za to wygrywać będę na organach hymny na cześć Królowej Korony Polskiej.” Jeżeli się nie mylimy, tym przyjacielem był sam ks. Koźmian, czy też żyjący dotąd brat jego Stanisław. Tych kilka słów lepiej nam odsłaniają piękną, zasnę duszę Chopina, aniżeli całe stronnice pochwał. Spotykamy się też tu z szczegółem, którego w obszerniejszych biografjach napróżno szukamy, oto, że sztukmistrz krótko przed zgonem kazał sobie zagrać marsz: „Jeszcze Polska nie zginęła.” Grała ten marsz Delfina Potocka, przyjaciółka Chopina i Krasińskiego.

Godzi się przytoczyć choć następny ustęp o ks. Antoniewiczu: „Był on wszystkim dla wszystkich, a dla każdego wszystkim w dobrą porę. Z kazalnicy głos jego grzmiało się podnosił przeciw zepsuciu grzechowemu, usta jego z niezachwianą siłą prawdy wiary wykładały; w konfesyjale, przy ognisku rodzinnem był to ojciec najczulszy, umiający koić, zachęcać, opatrywać wszelkie rany moralne, umiający płakać z zasmuconymi, radość szczęśliwych uświęcać, a zawsze pociągać wylaniem, ośmielać prostotą i pokorą.”

Obszernym jest życiorys Mickiewicza. Ks. Koźmian znał go osobiście i cenił go wielce, to też owo wspomnienie jest ważnym przyczynkiem do bliższego poznania życia i pism Mickiewicza.

Serdecznie jest napisanym życiorys Z. Krasińskiego. Oto choć jeden tylko z prześlicznych rysów, przedstawiających nam w całej wspaniałości szlachetne serce Zygmunta: „Dobroczynnością swą sięgał w najodleglejsze strony, a gdzie tylko praca, zdolność, lub pomysł polski potrzebował pomocy, w kraju, czy za granicą, a tem bardziej, gdziekolwiek niedola wzywała opieki, tam skwapliwie niósł wsparcie, starannie ukrywając się przed wdzięcznością, a nawet przed domysłem obdarzonych. Mówimy to z wszelką świadomością, bo nieraz i przez nasze ręce płynęła jego szczodroblivość. A iluż ludzi swym wpływem i zabiegami uchronił od zguby, lub wyrwał z samej przepaści nieszczęścia! Nad przyjaciółmi czuwał i z bliska i z daleka, z niewieścią prawdziwie troską i przemysłowością.”

Tom trzeci zawiera jeszcze dwie mowy żałobne, kazanie na obłóczynach Witoldowej ks. Czartoryskiej, zakończenie wydawnictwa „Przeglądu Poznańskiego” i przemówienie ks. Koźmiana d. 28 grudnia 1876 r. na uczcie, danej mu przez jego wychowalców, którzy złożyli znaczną sumę, jako stypendyum dla Towarzystwa Naukowej Pomocy, aby w ten sposób wyrazić swą wdzięczność dla swego przewodnika. Podnieść nam z tego przemówienia należy, że ks. K. uważał zawsze za ideał cichą pracę bez nagrody od ludzi.

Dodać wypada, że język ks. Koźmiana jest poprawny, a że przytem trzy te tomy zawierają wiele nauki, przeto szczególnie tym wszystkim Pisma ks. Koźmiana polecamy, którzy nie chwilową rozrywkę, ale rzetelny pożytek z czytania książek osiągnąć pragną.

— O ideale politycznym Z. Krasińskiego przez ks. Wł. Chotkowskiego, lic. św. Teol. (Lwów, nakładem redakcyi „Przeglądu Lwowskiego,” — 1881 r.) — Pod tym tytułem wydał Autor dwie swoje prelekcje, miane na dochód Towarzystwa Pań św. Wincentego à Paulo, w Poznaniu, na sali bazarowej, dnia 2 i 10 marca 1875 r. Na wstępie określa Autor cel i zamiar swych prelekcji, gdy, nie mogąc w ciasnym obrębie dwóch odczytów objąć wszystkich utworów Krasińskiego, zamierzył jedynie wskazać w formie poezyi ujęty, polityczny ideał nieśmiertelnego poety.

Oznaczywszy, co jest celem sztuki w ogóle, a w szczególności zadaniem poezyi, by ona nie stała się tylko igraszką przemijającą i szkody, zamiast korzyści, nie przyniosła, określiwszy stanowisko narodowego wieszczu u nas, „gdzie dzieła poetyczne mają znaczenie ksiąg sybilijskich,” u nas, gdzie „ognista wieszczów mowa, jak owoc zakazany, wkrada się do serc młodzieży, prawiąc jej o ojczyźnie, o wolności, o nadziei lepszej przyszłości, o walkach i cnotach” — Autor wyjaśnia obszerniej, co jest bezwzględny ideałem każdego myślącego człowieka, co ten ideał doskonalszym czyni i wyprowadza wniosek, iż, jak każdy pojedynczy czło-

wiek, podobnie i narody całe mają swoje polityczne Ideały i na czem ich doskonałość polega.

Po upadku powstania Kościuszkę i po trzecim rozbiore kraju poezja legionów, Woronicza i Niemcewicza objęła Ideał polski wojenny i polityczny, który pierwotnie, podtrzymywany zapałem i nadzieją, zbawienne wydając owoce — gaśł zwolna w pomroce nieszczęść i utonął we krwi strumieniach.

Na gruzach zbutwiałego klasycyzmu wykwiłał świeży kwiat poezji romantycznej — a równocześnie w głębi ducha narodowego nowy promień zaczął Ideał — pragnienie zemsty! I znalazł się wieszcz, który tę czarną myśl wydobyl — nie z własnej piersi — lecz z głębin duszy narodu i powstała Oda do młodości i Dziadów część III-cia i straszny, a tak porywający, grozy i majestatu pełen Konrad Wallenrod, co zemstę i zdradę uświęcił w oczach narodu, nie przebiegając w środkach, byle koniec położyć męczeństwu. Tak „Ideał polityczny Mickiewicza nie jest dosyć szczytny, ani czysty“ — czuł to sam wielki poeta i dla tego stworzył Księgi Pielgrzymstwa, z zasadami zdrowej moralności. Wyżej stawia Autor broszury Ideał polityczny Z. Krasińskiego.

Tu podniosły znajdujemy ustęp, w którym zastanawia się Autor, jak wielkiem i szczytnem, ale zarazem ciernistym jest zadanie poety: „to też kogo w kolebce anioł poezji wybrańcem swoim naznaczy, pewnie sam nad nim zapłaci.“

Następnie kreśli Autor przyjsie na świat w pamiętnym r. 1812 Zygmunta, któremu w chłopięcych latach general-ska szabla ojca za konika służyła, a któremu nie szablą, po żołniersku, ale bronią niemniej zaszczytną i potężną przeznaczonem było wstawić się i służyć ojczyźnie. W opisie młodości wieszczka wspomina Autor sprawę spisku z r. 1828, której rozwiązanie i następstwa Generała znamieniem zdraycy napiętnowały, a syna zniewoliły do opuszczenia kraju, powaliły na łożo boleści i czystą, nieskalaną duszę jego nieuleczonym jadem cierpienia zatrwały. — A pomimo to wszystko ani jedna skarga nie wydarła się ze zbolalej piersi poety, ale „na strunach jego harfy brzmiało tylko jedno imię — Polski!“ — Wbrew wszystkim naonczas utartym teoryom napiętnował on z siłą olbrzymią Ideał, który w wielu umysłach już zapanował; dowodząc raczej, „że zemsta ma tylko moc ujemną i do zguby umie prowadzić. Wystawił narodowi bitnemu, każdej chwili gotowemu do porywów i zapału, a najmniej mającemu zamiłowania do cierpliwej wytrwałości, że

Tylko moc ofiary cicha
Los gniołący zgniecie.“

Następuje obszerniejszy rozbiór Niedokończonego poematu i Nieboskiej komedii. Tu duch wieszczka nie spotężniał jeszcze tak dalece, aby mógł sam wiarę powziąć w lepszą dolę Polski i wlać ją w serce narodu. Uczucie zwątpienia i rozpacz objawia się w Nieboskiej. W Irydyonie, którego rozbiorowi poświęca Autor najobszerniejszy ustęp swej pracy, przewodnią ideją jest pragnienie zemsty na sprawcach niedoli. „Zemsta, choćby złemi środkami, choćby bez Boga, oto, co poczęło pokutować we wszystkich umysłach.“ Uczucie zemsty miało za źródło patryotyzm, dla tego poeta nie potępia go bezwzględnie, jednak dowodzi całym utworem, że zemsta nie może osiągnąć wymarzonego celu, nie może być życia ideałem. Koroną Irydyona jest zakończenie „przez które tragedia staje się arcydziełem.“ Tu Irydyon „nie jest bohaterem zemsty, ale bohaterem miłości ojczyzny.“ Nienawisć Romy zwyciężona przez miłość Grecji — Masynissa traci swoją ofiarę. Odtąd duch poety coraz więcej wznosi ku wyżynom sobie właściwym, aż dosięga szczytnego Ideału politycznego: Polska, jak Chrystus, ma się stać wzniosłą, niewinną ofiarą za cały ród ludzki — poświęcić siebie, jak Chrystus się poświęcił, aby zmartwychwstać, jak Chrystus. — Jako puściznę i święte prawo zostawia wieszcz narodowi: „miłość, a dla miłości poświęcenie dla Polski, a obok tego wiarę w Boga i z niej płynącą ufność niezłomną wśród najsroż-

szej nawet doli.“ I oto wzniosły i szczytny Ideał polityczny Krasińskiego, wcielony we wszystkie jego późniejsze, po Irydyonie powstałe, poetyczne utwory.

Przytoczyliśmy streszczenie obudwu odczytów, aby tych wszystkich, którzy ich w Bazarze nie słyszeli, ani później w Przeglądzie Lwowskim drukowanych nie czytali, zachęcić do zapoznania się ze świeżo wydaną broszurą, której szanowny Autor z całą świadomością swoich myśli, przystępnie i wiernie naszkicował nam szlachetną i wzniosłą duszę Zygmunta.

Każdy pod wrażeniem przeczytanej rzeczy „O Ideale“ pomyśli mimowoli, że Autor, przejęty uczuciem głębokiej sympatii dla swego poety, kreślił jego postać, ale i to przyzna, niezawodnie, że z każdego zdania wieje duch prawdy i sprawiedliwości. Jako krytyczny przyczynek do biografii wielkiego myśliciela-poety ma broszura, w mowie będąca, niezaprzeczoną wartość, a wartość tę podnosi właściwy Autorowi, u roku pełen, wdzięczny i harmonijny język, w jakim wypowiada swe przekonania śmiało, swe trafne i trzeźwe poglądy o nieśmiertelnym piewcy Psalmów i Przedświtu. Niechby ten szkic krytyczno biograficzny stał się kamieniem węgielnym do granitowego pomnika, na jaki od dawna daremnie dwaj czekają wieszczce, a jakim jedynie dotąd uczony krytyk i profesor lwowski uczcił ich drucha — Juliusza.

— W tym roku ukazała się w Sztokholmie nowość literacka, mogąca zainteresować czytelników naszych, jest to nowe wydawnictwo Biblioteki zajmujących obrazów obyczajowych i romansów historycznych. Pierwszym tego rodzaju dziełem jest znana powieść J. I. Kraszewskiego — „Hrabina Cosel“ wydana w tłumaczeniu szwedzkim bardzo starannie w 6 poszytach pod tytułem: August den Starke konung af Polen och gréfvinnan Cosel Historisk Roman af J. I. Kraszewski, wydane po szwedzku przez pana C. Eichhorn.

Tłumaczenie to bardzo jest wierne i pięknym stylem napisane. — Dzieło Jubilata naszego, bardzo tu sympatycznie przyjęte, zjednało sobie rozgłos i poparcie znakomite. — Fdcya 6,000 egzemplarzy w krótkim czasie wyczerpaną została, a powodzenie tłumacza jest zapowiedzią innych Kraszewskiego utworów.

* * *

— Muzeum Narodowe polskie w Rapperswyłu w mieście lipcu otrzymało następujące dary: pani Jarosława Daszkiewicz przesłała pamiętniki J. F. Kierzkowskiego, p. Małachowski poezje Br. Prawdomowskiego, pan F. Lewicki swoje własne dzieło, dr. profesor Korczyński „z kliniki lekarskiej“, Kraków 1881 r., pan Rothman z Trzemeszna kilka starych druków, między niemi odezwę Fryderyka Wilhelma z r. 1815 do mieszkańców W. X. Poznańskiego jako też Obwieszczenie do wsi departamentu poznańskiego z r. 1813 przez prefekta Moszczyńskiego; Dr. Artur Wołyński dokumenta w sprawie muzeum Kopernika. X. A. Krechowicki stare numizmaty, Dr. G. Roszkowski o Oxfordzkim prawie wojny lądowej, Kraków, 1881, p. G. Kohn swoje własne utwory, p. Fuchschi med monety rzymskie, wykopane na polach Kempratenu, pan G. C. swojej własnej roboty kapliczkę ścienną, pięknie rzeźbioną, w gotyckim stylu, na pomieszczenie posążku Matki Boskiej ze Skępego, który muzeum przechowuje, jako pamiątkę po Adamie Mickiewiczu. Posążek ten bowiem zdobił stół, na którym poeta swoje arcydzieła pisywał, p. H. Bukowski historyczny atlas wyszły w Sztokholmie, obejmuje on portrety znakomych ludzi. X. Dr. Błażczyński ofiarował bibliotekę, złożoną ze stukilkudziesięciu dzieł przeważnie treści historycznej i politycznej w językach: polskim, czeskim, francuskim i niemieckim. Są tu dzieła Szafarzyka, Lelewela, Krzyżanowskiego, Saint Simona, M. Fourniera, F. Bouyeta, Malte-Bruna, Fouventa i wielu innych. W tym małym zbiorze

nie brak także wydań kosztownych, jak np. Dictionnaire encyclopédique, wydawany pod dyrekcją K. Saint Laurent, edycja druga, Paryż 1843, Dictionnaire universel de Géographie moderne Pervota i Aragona wydanie czwarte wraz z mapami, Paryż, 1843. Księgozbiór muzealny szybko wzrasta, dziś liczy już czterdzieści kilka tysięcy tomów, nie rachując kilku tysięcy duplikatów.

Pomiędzy zwiedzającymi w znacznej, jak zwykle, liczbie znajdowali się ludzie nauki, a przyjaciele sprawy polskiej, którzy weszli w stałe stosunki z Muzeum. Muzeum bowiem dostarcza zajmującym się nauką pisarzom materiałów historycznych, etnograficznych i. t. p. tyczących się Polski i Słowiańszczyzny. Liczba w ten sposób korzystających ze zbiorów rapperswylskich cudzoziemców i krajowców coraz się wzmacnia. Malarze i rysownicy zwrócili też uwagę swoją na zbiór tutajszy rycin i obrazów. Pomiędzy robiącymi studia w tutajszej galerii obrazów miło nam jest wspomnieć o pełnej talentu Polce, pannie Jadwidze C., która tu przybyła, aby skopiować portret Jana III., jeden z najlepszych wizerunków tego króla. Panna Jadwiga C., uczennica włoskiego malarza Altamury, dała się poznać we Włoszech nie tylko z kopii, ale i z oryginalnie wykonanych obrazów, jako pełna talentu artystka. Wkrótce zapewne i kraj będzie miał sposobność poznać talent młodej Polki, rokującej świetną przyszłość.

— W ostatnim czasie dwanaście kobiet złożyło egzamin doktorski w uniwersytecie paryskim. Za najzdolniejsze między niemi uznane zostały: Amerykanka Putman, Włoszka Rosetti i Moskiewka Gonczarowa. Obecnie w wydziale medycznym w Paryżu znajduje się 42 kobiet: 18 Angielek, 11 Francuzek, 10 Moskiewek i 3 Amerykanki.

— Przez kilka lat ostatnich kobieta, panna Pogton, obejmowała stanowisko rządowego astronoma-asystenta w Madras, w Indjach; obecnie mianował ją rząd angielski sprawozdawcą meteorologicznym tamże.

— W Londynie otwartym został na dniu 3-go sierpnia przez ks. Walii kongres lekarski. Z całego świata lekarze w liczbie 3,000 uczestniczą w obradach kongresu. Na przewodniczącego obrano Sir James-Pageta. Otwarcia kongresu obecnym był cesarzewicz niemiecki.

— Powszechna wystawa krajowa przysposabia się na r. 1883 w Szwajcaryi, w Zurychu. Koszta wystawy ponosić ma państwo, kanton i samo miasto Zurich.

— W Krakowie obok tylu innych, już istniejących, powstaje nowy, wyższy zakład naukowy i wychowawczy żeński, pod przewodnictwem pani Anastazy Dzieduszyckiej, znanej także na pedagogicznym polu literatury.

MYŚLI.

Cieszący się szczerze powodzeniem bliźniego jest równie szlachetny, jak świadczący dobrodziejstwo.

Młodość jest, jak skarbona, w którą składane zapasy starość spożywa.

Najpiękniejszą i najtrudniejszą władzą na świecie jest panowanie nad sobą samym.

Choćbyśmy zjeździli świat cały, nie znajdziemy piękna, jeżeli poczucie jego u nas nie spoczywa.

Miłość własna, niezlagodzona starannem wychowaniem, wyradza się w samolubstwo.

Czas, tracony na zabawach, czyni umysł pustym, a godziny, użyte na pracę, zapełniają duszę.

Wiara chrześcijańska nie wszystko wyjaśnia, lecz leczy wszystko.

E. de Guérin.

Trzeba wierzyć w dobre rzeczy, by je umieć naśladować.

J. de Maistre.

Oczy, wzniesione w niebo, zawsze są piękne, jakiekolwiekby były.

Joubert.

Wierność pamięci jest najpewniejszym zadatkiem tego, co warte serce. Kto nie zapomina, ten prawdziwie kochał.

Guizot.

Nie byłibyśmy tak smutni, gdybyśmy umieli myśleć o niebie tak, jak Bóg chce, abyśmy myśleli.

O. Graty.

Rozmaitości.

— **Przepis praktyczny.** Doskonały sposób czyszczenia przedmiotów marmurowych: wazonów, statuet i t. d. Wsypać 2 uncje sody (sól alkaliczna) w kwartę wody zimnej i dobrze rozpuściwszy, nowym pedzlem, umaczanym w tym płynie, wycierać marmur, poczem czystą wodą dobrze opłókać. Po tej robocie statua wygląda tak pięknie, jakby świeżo wyszła z rąk artysty.

Rozwiązanie szarady

w nr. 24 „Dwutygodnika.“

(Oko).

Dobrze rozwiązały panie: T. Duszyńska w Pile, Kolanowska i Iza Kierska w Poznaniu, Stanisława Wache w Brzeziu.

Od św. Michała r. b., jako z początkiem roku szkolnego, przyjmuje

pensyonarki

nowe, mające już to uczęszczać do tutajszych wyższych zakładów naukowych, już też kształcić się prywatnie.

W pensjonacie moim jest **nauczycielka Francuzka** wyłącznie dla konwersacyi i pomocy uczniom w zadaniach szkolnych.

Teofila Radomska

Poznań, Długa ulica nr. 8. — I. piętro.

Treść: Artykuł wstępny: O wykształceniu woli dziecka. — Wiersz: Echo Młodości przez W. B. E. — Marya Stuart w historii i w literaturze przez Zoryana. (Ciąg dalszy nast.) — Zaufanie. Powieść Henryka James. Przekład z angielskiego. (Ciąg d. nast.) — Podróż około świata na yachcie Sunbeam czyli rok życia familijnego na morzu przez panią Brassey (tłom. z ang. w wyjąkach c. d. n) — Kronika literacka i sprawy bieżące. — Myśli. — Rozmaitości. — Rozwiązanie szarady. — Anons.

Za nakład i redakcją odpowiedzialna Teresa Radomska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.